

## Jeniec Ostrowski

**D**obawy Dyzmy okazały się niestety uzasadnione. Jeszcze tego samego wieczoru pod ogrodzeniem okazałej posesji, w której rezydował konsul, ustawily się dwie czarne limuzyny, w których siedziało po dwóch osobników w mundurach. Stało się jasne, że oficjalnie wystawiono dwa posterunki, obserwujące ruch wokół konsulatu.

Izdebski, natychmiast powiadomiony o zaistniałej sytuacji przez portiera, specjalnie się tym jednak nie przejął. Major był pewien, że placówka od samego początku jej istnienia była pilnie obserwowana, może nie tak ostentacyjnie, ale na pewno była. Przewidywał również i to, że wśród personelu pomocniczego, na co dzień dochodzącego z miasta, znajduje się zapewne wywiadowca miejscowych służb bezpieczeństwa.

– Widział pan te widety, które nam tu wystawiono? – zapytał Dyzma, gdy major około południa następnego dnia przedstawił mu projekt pisma do komendy NKWD w sprawie sekretarza Czarnoty.

– Proszę się tym nie martwić, panie konsulu. To normalne, u nas w Warszawie pod placówkami dyplomatycznymi oficjalnie ustawiane są posterunki policyjne i nikogo nie może to dziwić.

– No, ale wcześniej tego nie było – irytował się Dyzma.

– Stało się to, co się stało, panie konsulu. Melduję, że wrócił portier, który dostarczyć miał Czarnocie rzeczy osobiste. Nawet nie chcieli z nim gadać i oczywiście żadnych rzeczy nie pozwolili przekazać.

– No to się, cholera jasna, zaczęło – Dyzma wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Jeżeli akceptuje pan to pismo, to proszę o podpis i przekażemy je do komendy NKWD. Prosimy w nim oficjalnie o zwolnienie Czarnoty, deklarując, że absolutnie nie wykonywał on żadnych zadań wywiadowczych, a w okolice obiektów wojskowych zawieruszył się przypadkowo, po wcześniejszym nawiązaniu romansu z byłą pracownicą konsulatu.

– To ta baba wcześniej u nas pracowała?

– Okazało się, że niestety tak, panie konsulu.

Dyzma głęboko westchnął i przebiegł oczami po przekazanym mu przez majora piśmie.

– I myśli pan, że oni w to uwierzą? – klepnął wierzchem dłoni w papier.

Izdebski uniósł brwi do góry i bezradnie rozłożył ręce.

Konsul złożył zamaszty podpis i zwrócił pismo majorowi.

– Czy wicekonsul się nie odzywał, bo już go dość długo nie ma? – Dyzmie coraz bardziej brakowało swojego zastępcy.

– Na razie nic nie wiemy, ale w razie czego natychmiast dam znać.

Za trzy dni wicekonsul wrócił i natychmiast został poproszony do gabinetu Dyzmy. Jeszcze przed spotkaniem z konsulem, major Izdebski poinformował go o niefortunnym wydarzeniu, jakie miało miejsce podczas jego nieobecności.

– No to nam ten Czarnota nagraził, jak nie wiem co. Już teraz rozumiem ten nagły zwrot w nastawieniu do mojej osoby – podzielił się swoim spostrzeżeniem wicekonsul.

– To niczego panu nie powiedziano?

– Nie, i dlatego byłem bardzo zdziwiony, gdy nagle wycofano mnie z ekipy Bergowa. Oni tam dzisiaj właśnie wizytują ten obóz. Cholera, a tak niewiele brakowało, wszystko szło tak dobrze, jak z płatka.

– Chyba nawet za dobrze. Od początku dziwne dla mnie było, że Bergow tak łatwo zgodził się na pańską partycypację w lustrowaniu obozu jenieckiego – major nie krył swoich obaw co do prawdziwych intencji sowieckich władz – Wie pan, wyglądało to bardzo po ludzku, ale jak widać, tylko wyglądało.

Dyzma siedział w swoim fotelu i wyglądał jak gradowa chmura.

– Czy pan wie, co tu się stało pod pańską nieobecność?

– Tak, wiem i prawdopodobnie to było przyczyną zawrócenia mnie z powrotem do Krasnojarska.

– Czyli nadal nic oficjalnie nie wiemy?

– Nie do końca, panie konsulu. Obozu co prawda nie widziałem, ale udało mi się uzyskać listę przetrzymywanych tam naszych oficerów. Uważam to za wielki sukces, bo teraz będziemy mogli, tak jak pan mówi, oficjalnie wystąpić o ich uwolnienie.

– A czy porównywał ją pan z tą listą nazwisk uzyskaną od Sobolewskiego, którą przekazaliśmy już do Warszawy?

– Tak, porównywałem i większość nazwisk się powtarza. Moja lista jest dłuższa, a to zapewne dlatego, że Sobolewski nie zapamiętał wszystkich nazwisk. Są też niestety i takie, które rotmistrz wymienił, a których Sowietci nie sygnalizują.

– No to może i tu też coś pomieszał?

– Raczej nie, panie konsulu. Moim zdaniem są to nazwiska oficerów, którzy zmarli w obozie od czasu, gdy uciekł stamtąd rotmistrz Sobolewski. To kilka-  
naście nazwisk.

Na dźwięk słowa „rotmistrz” Dyzma doznał jakby olśnienia i przypomniał sobie prośbę, jaką jeszcze na Dworcu Wileńskim zęgnął go Ulanicki.

– Wie pan – zaczął lekko asekuracyjnie – ja do tej pory nie miałem czasu się temu wszystkiemu przyglądać, ale interesuje mnie nazwisko Ostrowski, rotmistrz Ostrowski. Czy może jest ono na tej liście?

Wicekonsul otworzył swoją teczkę i zaczął oczyma przebiegać po zestawieniu nazwisk. Po chwili wyprostował się.

– Jest, panie konsulu. Na liście udostępnionej przez Sowietów znajduje się to nazwisko, ale Sobolewski o nim nie wspomniał. Być może, tak jak już mówiłem, nie pamiętał go.

Dyzma zamilkł, głębiej zapadł się w fotel i głośno westchnął.

– Czy to może ktoś z rodziny, lub znajomy pana konsula?

– I tak, i nie. Usilnie mnie proszono, abym się czegoś o nim wywiedział. Jednym słowem oznaczałoby to, że Ostrowski żyje i nawet wiemy, gdzie jest.

Wicekonsul jeszcze raz zajrzał do swoich papierów.

– Tak by wyglądało, panie konsulu. Na dzień dzisiejszy rotmistrz Hilary Ostrowski żyje, ale co będzie jutro? – bezradnie rozłożył ręce.

Dyzma przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swojego zastępcę, przypominając sobie prośbę Ulanickiego, wspomnienia wojenne pułkownika Waredy, a przede wszystkim zasmuconą twarz ordynatowej Katarzyny Ostrowskiej.

– Odwaliłeś pan kawał porządnej roboty, chłopie – odezwał się prawie zduszonym głosem, a następnie podszedł do swojego zastępcy, mocno ścisnął mu dłoń i protekcjonalnie poklepał go po ramieniu.

– Gdyby nie pańska zagrywka z tym Bergowem, to nic by się nie udało załatwić. To pańska zasługa, panie konsulu, przede wszystkim pańska. Ja jestem tu do roboty – powiedział skromnie wicekonsul, odwzajemniając się za wyrażone pod jego adresem uznanie.

Dyzma uśmiechnął się i jeszcze raz poklepał swojego zastępcę. Chcąc wrócić do meritum, zagadnął ponownie.

– Co my teraz, cholera, z tym Czarnotą zrobimy? Nie tylko, że nie mają zamiaru go zwolnić, ale nawet nie pozwolili przekazać mu szczoteczki do zębów.

– Obawiam się, że problem może się jeszcze rozwinąć, bo to prawdopodobnie była prowokacja – wicekonsul przybrał poważny wyraz twarzy.

– Psiakrew, tak to jest z gówniarzami! Po jaką cholere wplątywał się w ten romans?! Po co mu to było potrzebne?! Teraz my będziemy musieli się z tym wozic. Widział pan te posterunki, które Sowietci wystawili przed budynkiem?

– Tak, widziałem. Należało się tego niestety spodziewać, co się zaś tyczy samego Czarnoty, to być może już go tu w Krasnojarsku nie ma. Myślę, panie konsulu, że nie ma innego wyjścia, jak tylko cierpliwie czekać. Teraz ruch należy do nich, a my nie możemy płakać nad rozlanym mlekiem. Trudno, stało się.

– Dobrze panu mówić, ale to ja dostanę po pierogu. Już depesza do Warszawy wyszła, pewnie lada dzień się odezwą, albo mnie nawet odwołają.

– To jest wykluczone, panie konsulu, bo w ten sposób niejako potwierdzone by zostało, że istotnie mamy coś za kołnierzem. Moim zdaniem należy rzecz całą oficjalnie zbagatelizować, sugerując, że cały incydent to tylko i wyłącznie nieroztropność i niesubordynacja młodego mężczyzny, mężczyzny wyposzczonego erotycznie.

– Knura, nie mężczyzny. Knura, panie szanowny! Przecież ten Czarnota w Polsce ma żonę i dzieci! My możemy spokojnie siedzieć na dupie, a on nie może?! Jak nie może miesiąc lub dwa bez baby wytrzymać, to po jaką cholere pisał się na taki wyjazd?

– W pełni podzielam pana pogląd, no ale cóż? Już się stało, i się nie odstanie. Proponuję skupić się na robocie, bo tu akurat mamy sukcesy – wicekonsul usiłował w jakiś sposób załagodzić wzburzenie Dyzmy.

– Dobrze, że chociaż pan jeden jest normalny w tym całym towarzystwie. Co pan zatem proponuje?

Wicekonsul lekko się uśmiechnął słysząc wypowiedziany pod swoim adresem komplement, i rozłożył papiery na biurku Dyzmy.

– Oryginał listy jeńców powinniśmy wysłać jak najszybciej do Warszawy, ale jej odpis niech po drodze trafi jeszcze do Moskwy. Tam nasi też powinni wiedzieć, co się nam tu udało uzyskać. My tu dla swoich potrzeb też zaraz zrobimy kopię albo dwie, no i proponuję zacząć negocjować zwolnienie tych oficerów. Gdyby się udało, to i tak musielibyśmy ich tu u nas jakiś czas podkurować, bo po tylu latach to chyba już wraki, a nie ludzie.

– Napisz pan stosowne pismo, a ja zaraz osobiście pojedę z nim do rejonowego naczelnika łagrów, tego Czerkasowa, czy jak mu tam. Może nie będzie nam stawiał oporów, bo był tu u nas razem z Bergowem i widział jego pozytywny stosunek do sprawy.

– To właśnie rokuje nadzieje na sukces. Trzeba byłoby chyba nakazać administratorowi Majewskiemu, aby zgromadził większą partię lekarstw i ubrań, bo jakby się ci oficerowie u nas pojawili, to pewnie wszyscy trafią do lazaretu.

– Niech pan to robi, a lazaret opróżnić. Niech wyjeżdżają wszyscy, co mogą i nie mogą, bo miejsca nam potrzebne.

– Tak jest, panie konsulu. Będzie tak, jak pan powiedział – i wicekonsul zebrał sprawnie ze stołu wszystkie papiery, po czym wyszedł z gabinetu, bezszelstnie zamykając za sobą drzwi.

Centrala odpowiedziała w błyskawicznym tempie. Po kilku dniach major Izdebski zameldował się w gabinecie Dyzmy z tajną przesyłką z Warszawy.

W przekazanej szyfrówce nakazano ograniczyć do absolutnie niezbędnego minimum jakiegokolwiek interwencji w sprawie zatrzymanego pracownika konsulatu, informując, że tę kwestię poruczono nadrzędnej placówce w Moskwie. Przekazano również gratulacje z powodu uzyskania listy przetrzymywanych w łagrze oficerów, sugerując dołożenie wszelkich wysiłków w celu pozytywnego załatwienia ich uwolnienia. Na końcu depeszy obiecano szybkie wsparcie działań konsulatu, nie informując, na czym pomoc ta będzie polegać. Po przeczytaniu depeszy Dyzma oddał ją wicekonsulowi. Ten szybko przebiegł ją oczyma i nic nie mówiąc, położył na blacie biurka.

– No i co panowie o tym myślą? – Dyzma zwrócił się do swoich współpracowników.

Wicekonsul spojrzął na majora, dając mu do zrozumienia, że jako niższy funkcją pierwszy powinien zabrać głos.

– Moim zdaniem to bardzo dobrze, że zdjęto nam z głowy problem Czarnoty. Tak jak przypuszczaliśmy, już go wywieziono z Krasnojarska, prawdopodobnie do Kujbyszewa, albo nawet na Łubiankę do Moskwy. Sądzę, że ta sprawa i tak przekraczała nasze kompetencje. W sprawie oficerów proponuję, że gdyby się tu tylko pojawili, to należałoby ich, najszybciej jak to tylko będzie możliwe, przepytac na okoliczność znajomości kilku kwestii. Pozwoliłem sobie przygotować zestaw podstawowych pytań. Oto one, panie konsulu – i major przedłożył Dyzmie zapisaną kartkę papieru.

– Widzę, że pan to by tylko o przesłuchiowaniu myślał, ale dobrze, dobrze. Skoro trzeba, to trzeba.

Dyzma przez chwilę z uwagą studiował treść pytań, których nie było zbyt wiele na kartce, po czym oddał ją wicekonsulowi.

– Jeśli można – wicekonsul podniósł do góry palec wskazujący – to dołożyłbym do tego jeszcze jedno pytanie, mianowicie: w jakich łagrach przetrzymywano wcześniej tych ludzi. Dzięki temu dowiemy się, jakie obozy jeszcze są i ewentualnie gdzie.

Dyzma ochoczo przytaknął, ale major Izdebski siedział z kamienną twarzą.

– No co? Nie akceptuje pan tej propozycji? – zwrócił się do niego wicekonsul.

– Nie to, że nie akceptuję, tylko zastanawiam się, czy w ogóle będziemy mogli wykorzystać tego typu informacje? Przecież to oczywiste, że lokalizacja obozów jest tutaj najtajniejszą informacją.

– Może i tak jest – wtrącił się Dyzma – ale przecież nie możemy przepuścić okazji, aby się tego nie dowiedzieć. Oni musieliby być durniami, gdyby pomyśleli, że o to pytać nie będziemy.

– W sumie tak – pokiwał głową Izdebski i dopisał pytanie do listy.

– Będę szczery, panowie – wicekonsul jak zwykle rzeczowo przeszedł do konkretów – niech oni nam może tych oficerów najpierw wydadzą, a potem będziemy się martwić, czego się od nich dowiedzieć. Czy w tym naczelstwie udało się panu jakoś popchnąć sprawę do przodu, panie konsulu?

Dyzma, który był w rejonowej komendzie obozów i przekazał tam listę oficerów wraz z prośbą o ich wydanie, klasnął obiema dłońmi w stół i krótko oświadczył:

– Panowie, musimy czekać. Listę i prośbę przyjęli, co według mnie i tak jest już sukcesem. Decyzje ponoć muszą zapaść wyżej, a my mamy czekać. Mają nas powiadomić, jak będzie coś wiadomo, a kiedy będzie wiadomo, nie wiadomo – zakończył enigmatycznie.

– Myślę, że i tak niczego więcej nie mogliśmy uzyskać – aprobująco wtrącił wicekonsul. – Lazaret za kilka dni będzie przygotowany na przyjęcie kilkudziesięciu łżej i średnio chorych. Ciężkich przypadków niestety nie obsłużymy, panie konsulu. Zbyt szczupły mamy personel medyczny, a i wyposażenie kiepskie.

– Takich przypadków niestety nie będzie, niech pan na to nie liczy – sarkastycznie skwitował wypowiedź wicekonsula major Izdebski.

Kilka dni po tej naradzie do konsulatu dostarczono krótką notę, przekazaną przez rejonową komendę NKWD. Po jej przeczytaniu Dyzma opadł na fotel, ciężko westchnął, a sekretarce polecił zawołać do siebie wicekonsula.

– Niech pan czyta – energicznie wręczył otrzymane przed chwilą pismo swojemu zastępcy, a sam zaczął nerwowo spacerować po gabinecie.

– No i widzi pan? Możemy związać manatki i wracać do Warszawy! Wygląda na to, że nic tu po nas. Tyle roboty i zabiegów na darmo. I znowu, cholera, jakiś bęcwał zniszczył moje starania! – zaczął prawie krzyczeć, co nie przeszkodziło wicekonsulowi szybko przebiec oczyma po kartce.

– Oni nas tu informują, panie konsulu, że wszelka współpraca została zawieszona do odwołania, a nie całkowicie zerwana – wicekonsul próbował łagodzić wzburzenie zwierzchnika.

– Niechże pan nie będzie naiwny, mój panie! – irytował się dalej Dyzma. – Przecież wyraźnie piszą, że z powodu wrogich działań wobec gościnnego państwa radzieckiego współpraca w sprawie wymiany jeńców zostaje wstrzymana.

– Do odwołania, panie konsulu. Piszą, że do odwołania, a to budzi nadzieje, że nie całkowicie.

– No tak, ale ja już wysłałem depezę, że odnalazłem rotmistrza Ostrowskiego i innych, a tu taki klops. Jak ja będę teraz wyglądał? No, jak ja będę teraz wyglądał?!

– Panie konsulu, zrobił pan bardzo dużo. Podkreśla to Warszawa w dzisiejszym telefonogramie. Sprawą Czarnoty już się zajęli. To był wypadek przy pracy, a z naszej strony nie widzą żadnych zaniedbań.

– Napisali coś jeszcze? – Dyzma wołał usłyszeć to od wicekonsula, niż sam czytać dość długą depezę z centrali.

– Podjęto kompleksowe działania zmierzające do zacieśnienia kontaktów z Sowiecami. Na pierwszy ogień idzie kultura i kinematografia. Planowana jest wymiana zespołów artystycznych, muzycznych, baletu oraz filmów. To ich konik. Sowieci ponoć chcą pokazać, że kultura się u nich rozwija.

– No i co z tego? Czy my tu będziemy teraz bilety do kina albo na występy sprzedawać czy co?

– Może nie sprzedawać, ale rozprowadzać i propagować naszą narodową kulturę.

– Niech mi pan głowy nie zwraca, dobrze?! Ja chcę konkretów. Jak nam cyrk czy jakiś teatrzyk pomoże w oswobodzeniu jeńców?

– Może na początek chodzi o ocieplenie wzajemnych stosunków. A tak między nami, panie konsulu: nasi prawdopodobnie zrobią to samo, a mianowicie aresztują jakiegoś ważnego szpiona, rezydującego na przykład w Warszawie, i dojdzie do wymiany. Myślę, że już znajdują jakiś sposób. Proponuję uzbroić się w cierpliwość i nie czekać z założonymi rękami, ale działać.

Zdziwiony Dyzma spojrział na swojego zastępcę.

– Co pan chce zrobić? Przecież wyraźnie tu piszą, że do zwolnienia jeńców nie dojdzie. Przynajmniej na razie.

– Zgadza się, ale nie zabronili nam kontaktować się z przetrzymywanymi oficerami, albo nawet przesłać im jakieś wsparcie. Mam na myśli odzież, leki czy żywność.

– A, to dobry pomysł – Dyzma z podziwem spojrział na wicekonsula. – Pan to masz łeb na karku. Faktycznie, pomagac nie zabronili.

– Ano właśnie, i to trzeba wykorzystać. Administrator Majewski już szykuje transport ciepłej odzieży, aspirynę, czekoladę i konserwy.

– Niech daję wszystko, co mamy, a do Moskwy śle zamówienie o dalsze wsparcie.

– Już to zrobiliśmy, panie konsulu. Do wyjazdu szykujemy Bochenka. Jak się Sowieci zgodzą, to załadujemy wszystko na wagon i niech to jedzie.

– No to może niech jeszcze weźmie jakieś materiały piśmienne, aby oficerowie napisali listy do rodzin, albo coś takiego? – Dyzma niejako mechanicznie poruszył jakże ważną kwestię.

– O wszystkim pomyślano, a panowie Izdebski z Majewskim już nad tym czuwają. Niewykluczone, że dla tych oficerów będą to pierwsze od wielu lat listy do ich rodzin.

– Dobra jest. Smaruj pan depezę w tej sprawie do Warszawy. Niech wiedzą, że nie opuściliśmy rąk.

Wicekonsul skłonił głową i z zadowoloną miną opuścił gabinet swojego zwierzchnika.

Wypełniając polecenie szefa, major Izdebski jeszcze tego samego wieczoru wysłał telefonogram do MSZ-tu.

Dyzma, znając już dobrze osobę nowego rejonowego kamandira NKWD, postanowił go osobiście odwiedzić i poprosić o zgodę na przekazanie pomocy przetrzymywanym w łagrze oficerom. Wbrew początkowym obawom, zgodę uzyskał szybko i bez konieczności dodatkowego uzasadnienia.

– Co oni nagle tacy ulegli się zrobili? – dopytywał się Izdebskiego. – Myślałem, że jeżeli w ogóle się zgodzą, to po dłuższym oczekiwaniu lub dodatkowych prośbach. A tu proszę, rach-ciach i Bochenek może jechać.

Major przenikliwie spojrzął na zwierzchnika.

– To pan nic nie wie? Być może Sowieni będą teraz przez czas jakiś mili dla Polaków.

Dyzma utkwiał pytający wzrok w mówiącym.

– Decyzją najwyższych władz, panie konsulu, rozstrzelano prawie wszystkich polskich komunistów przebywających na terytorium Związku Sowieckiego, a tych, których nie zlikwidowano, osadzono w łagrach.

– To pewnie i tego naszego znajomego, tego Czernowa, też rozwalili?

– Tak, jego też, tak jak i wielu innych, którzy w czasie wojny postępowali za sowieckim wojskiem i zakładali struktury organizacyjne polskiej republiki rad. Na szczęście nie udało im się, i teraz ponieśli karę.

– No ale przecież to wojsko wojnę przegrało, a nie oni.

Major zrobił tajemniczą minę, rozłożył ręce i filozoficznie podsumował:

– Wojsko, panie konsulu, zapłaciło swoją, i powiedzmy to sobie wyraźnie, bardzo wysoką cenę. Teraz przyszła kolej na działaczy komunistycznych. Na razie na polskich działaczy.

Dyzma uniósł brwi, przez chwilę popatrzył spod czoła na majora i zmienił temat rozmowy.

– Czy transport z pomocą jest już gotowy?

– Tak. Majewski dopina ostatnie szczegóły. Uskładało się tego prawie dwie ciężarówki. Wczoraj dokupiono jeszcze trochę towaru, w tym ich sklepie dla funkcjonariuszy, gdzie mamy prawo się zaopatrywać. Bochenek wykupił prawie całą czekoladę, jaką tam mieli. Nie było tego co prawda dużo, ale zawsze coś. Cały towar ulokowano już w wagonie.

– Kiedy wyjazd?



– Prawdopodobnie jutro lub pojutrze w nocy przyjeżdża z Kujbyszewa pociąg typu *naczspectrembud*, i do niego doczepiony zostanie nasz wagon z pomocą. W części tego wagonu Bochenek ma już urządzone swoje lokum, taki boks do spania.

– Dajcie mu jakiejś gorzały na drogę, bo zmarznie w nocy.

– Pomyśleliśmy o wszystkim, panie konsulu – uśmiechnął się major Izdebski. – Wystarczy i dla niego, i dla kolejarzy. Tutaj wódka to najlepszy towar wymienny, a na noc Bochenek będzie miał porządny ocieplany śpiwór. Taki dla polarników.

– Niech go pan tu do mnie przyśle. Mam mu coś do przekazania.

Kilka minut po wyjściu Izdebskiego, w gabinecie Dyzmy zameldował się Bochenek.

– Jedzie pan z transportem pomocy? – Dyzma raczej stwierdził, niż zapytał.

– Tak jest. Być może już jutro.

– Jak już będzie pan tam na miejscu, niech pan za wszelką cenę postara się uzyskać kontakt z rotmistrzem Ostrowskim. Zapamiętaj pan: rotmistrz Ostrowski. Niech pan mu powie, że cała jego rodzina jest zdrowa, syn rośnie, uczy się w Chyrowie, a ojciec i żona cały czas czekają na niego. Rodzina brata tak samo. Jeszcze raz powtarzam: rotmistrz Ostrowski. A jakby chciał coś przekazać, to albo niech napisze, albo niech panu powie. To wszystko, jeśli o niego chodzi. Z innymi, jakby się dało, niech pan też porozmawia. Niech napiszą listy, które może Sowietci pozwolą panu zabrać, chociaż wątpię.

– Tak jest, panie konsulu. Postaram się nawiązać kontakt i z rotmistrzem Ostrowskim, i z innymi oficerami.

– No, to powodzenia – Dyzma odprawił podwładnego, nawet nie podając mu ręki na pożegnanie.

Następnego dnia, na dworcu kolejowym, Bochenka żegnał wicekonsul, z wyraźną troską na twarzy rozglądając się dyskretnie dookoła.

– No, to w drogę, chłopie, i uważaj na siebie. Nie daj się pan w żadnym razie sprowokować Sowietom, i nie dawaj nawet pozorów, że nie przestrzegasz ich nakazów. Mogą wykorzystać byle pretekst, aby utracić naszą akcję pomocy, a to jest teraz najważniejsze. Będę szczerzy: trochę wątpię, aby udało się panu swobodnie porozmawiać z tymi oficerami – wicekonsul poważnie spojrzął na Bochenka i mocno uściśnął mu dłoń.

Po tygodniu jazdy koleją i ciężarówkami porucznik Bochenek znalazł się przed bramą obozu. Pomny udzielonych mu ostrzeżeń, nawet przy przeładowywaniu paczek z wagonu na transport samochodowy, zwrócił się do nadzorującego oficera z pytaniem, czy może poczęstować papierosami pomagających mu żołnierzy.

Przejazd ze stacji do bramy obozu eskortowany był przez miejscową milicję. Mimo że transport od dawna był już sygnalizowany, Bochenka przy wjeździe na teren obozu poddano gruntownej kontroli osobistej, a przywieziony towar dokładnie przejrzano. Podczas prawie całodniowej kontroli, skrupulatnie sprawdzono nawet kieszenie przywiezionej odzieży.

Gdy wszystkie formalności zostały już spełnione, komendant obozu zakomunikował, że Bochenek i owszem, może się spotkać z przetrzymywanymi, ale będzie to tylko delegacja jeńców, delegacja wytypowana przez komendę obozu. Przywieziony transport z pomocą miał być również rozdzielony przez naczelnika.

Bochenkowi nie zostało nic innego, jak tylko przystać na taką propozycję.

Do spotkania z osadzonymi doszło już następnego dnia, a odbyło się ono na świetlicy dla strażników obozowych. W spotkaniu uczestniczył komendant, jego zastępca i kilku oficerów NKWD, którzy nagle pojawili się w obozie.

Widok wchodzących do sali polskich oficerów przeraził Bochenka. Ludzie ci byli przeraźliwie wychudzeni, ich ubrania przypominały łachmany, ręce i twarze mieli sine od odmrożeń, a przerażone oczy gorączkowo wpatrywały się w przedstawiciela konsulatu.

Porucznik w pierwszej chwili aż się wzdrygnął, widząc takie żywe szkielety, ale szybko się opanował wiedząc, że obserwującym spotkanie funkcjonariuszom nie może dać do zrozumienia, że widok polskich oficerów aż tak bardzo go przeraził.

Podczas powitania Bochenek uczył, że każdy z oficerów usiłuje mocno ścisnąć mu dłoń, chcąc zapewne dać mu do zrozumienia, że ma mu coś niezwykle ważnego do przekazania.

– Panowie – zaczął porucznik – jestem przedstawicielem polskiego konsulatu i przywiozłem wam trochę produktów żywnościowych, lekarstw i odzieży. Władze państwowe i pan komendant osobiście, wyrazili zgodę na przekazanie tej skromnej pomocy – tu Bochenek uprzejmie kiwnął głową w stronę obserwujących bardzo uważnie całe spotkanie funkcjonariuszy.

Oficerowie nie odpowiedzieli ani słowa, co z kolei nie uszło uwagi Bochenka. W tym momencie komendant obozu stwierdził, że przywieziony asortyment zostanie rozdzielony przez komendę obozu ściśle według reguł, jakie obowiązują. Dla porucznika stało się jasne, że zapewne nie wszyscy pomoc otrzymają.

Nie widząc szans na osobistą rozmowę na osobności Bochenek, pamiętając wytyczną Dyzmy, zapytał wprost komendanta, czy może porozmawiać z przebywającym w obozie rotmistrzem Ostrowskim.

Pytanie zawisło w powietrzu, komendant łagru lekko się zmieszał, i spojrzał trwożliwie w stronę roslęgo oficera NKWD, który natychmiast zainteresował się całą sprawą. Zachowanie delegacji oficerów, dotychczas posłusznie milczących,

też nagle uległo zmianie. Jak na komendę wszyscy zaczęli przestępować z nogi na nogę, jakby chcieli dać Bochenkowi do zrozumienia, że popełnił poważny błąd, wymieniając nazwisko oficera.

– A dlaczego pan o tego właśnie więźnia pyta? – enkawudzista podszedł bliżej do Bochenka.

Stało się jasne, że odpowiedź paść musi, i musi to być odpowiedź wiarygodna. Lekkie westchnienie delegatów utwierdziło Bochenka w przekonaniu, że nie powinien był o to pytać. Nie mając jednak odwrotu, skupił się cały w sobie i z największym spokojem, na jaki mógł się tylko zdobyć, odpowiedział patrząc prosto w oczy pytającego:

– Pytam o jeńca wojennego, który jest znajomym pana konsula Dyzmy. Jego nazwisko, tak jak zresztą całą listę tu osadzonych, uzyskaliśmy od władz i za osobistą zgodą pana komisarza ludowego, Bergowa.

Nazwisko naczelnego komendanta Gułagu podziałało na oficera NKWD jak przysłowiowy kubek zimnej wody. Jego twarz natychmiast stała się łagodniejsza, a w celu ukrycia lekkiego zmieszania przeszedł kilka kroków. Na koniec wziął do ręki podaną mu listę i zaczął ją przeglądać.

– Rzeczywiście, jest tu takie nazwisko. Czy ten więzień przebywa obecnie na terenie obozu? – oficer zwrócił do komendanta.

Ten, praktycznie nie patrząc na listę, wyrecytował służbiście:

– Nie, towarzyszu komisarzu. Obecnie grupa, do której on należy, pracuje.

Wyraźnie zadowolony enkawudzista nonszalancko i jakby z pogardą odłożył listę na blat stołu, w geście bezradności rozłożył ręce, i z jadowitym wyrazem twarzy udzielił odpowiedzi:

– A zatem widzicie, nie jest to możliwe. Czy macie, towarzyszu, jeszcze jakieś pytania?

Bochenek, domyślając się, że jakiegokolwiek jego pytanie może być później użyte przeciwko zatrzymanym, postanowił jednak zainteresować się sprawą z pozoru dla wszystkich jak najbardziej oczywistą.

– A jeśli wolno spytać: jaki jest stan zdrowia naszych jeńców? Pan konsul gotów jest przysłać tu ekipę medyczną, aby zajęła się tym zagadnieniem, jeśli oczywiście wystąpiłyby w tym zakresie jakieś trudności.

Lekkie szuranie nogami przez delegatów znów dało do zrozumienia Bochenkowi, że poruszył problem newralgiczny dla władz obozu. Najwyższy rangą oficer NKWD wyraźnie zmrużył oczy, a jego wzrok przeszył na wylot pytającego. Stało się jasne, że to proste pytanie, do tego postawione w obecności przetrzymywanych, jest co najmniej kłopotliwe.

– Opieka medyczna jest właściwa i zgodna z obowiązującymi przepisami – znowu służyście wyrecytował odpowiedź komendant. – Nie jest nam tu potrzebna żadna pomoc z waszego konsulatu.

Stało się jasne, że spotkanie dobiegło końca. Gdy już odesłano przedstawicieli polskich jeńców, enkawudzista podszedł do Bochenka i naciskiem powiedział coś, co tego praktycznie zmroziło:

– Sprawdzimy dokładnie, towarzyszu, dlaczego interesowało was nazwisko tego, jak mu tam, Ostrowskiego. Sprawdzimy dokładnie i zapewniam, że wszystkiego się dowiemy – prawie zasyczał mu nad uchem.

– To tylko znajomy pana konsula – Bochenek za wszelką cenę usiłował zbagatelizować całą sprawę.

Tego już jednak komisarz NKWD nie chciał słuchać, tylko szybkim ruchem zgarnął listę nazwisk ze stołu i wyszedł razem z pozostałymi.

„O Boże, co ja najlepszego zrobiłem? Po co się o tego rotmistrza w ogóle pytałem? Przecież oni go tu zatłuką” – żałował w duchu Bochenek.

Do kolejnego spotkania z oficerami nie doszło, a już następnego dnia Bochenka odwieziono na stację kolejową. Po dwóch dniach podróży zameldował się z powrotem w konsulacie, gdzie straszliwie zmęczony i w minorowym nastroju złożył szczegółową relację z wyjazdu do łagru.

– Czy ten rotmistrz Ostrowski to rzeczywiście pański znajomy, panie konsulu? – ostrożnie zapytał major Izdebski.

Dyzma zaprzeczył ruchem głowy.

– Cholera, nie widzę tego dobrze, panowie. Jak tego rotmistrza wezmą na konwejer, a zapewne tak się stanie, to nie wiadomo, co powie. Może być z nim źle – z rezygnacją w głosie skwitował rzecz całą wicekonsul.

Dyzma zacisnął usta i nie mówiąc nic, pokiwał tylko głową.